

LEGENDA O KAMIENIU TATARSKIM

Powoli zapadał wieczór. Wielki księżyc zawisł nad wierzchołkami drzew i jasnym blaskiem oświetlał niewielką polanę. Wiatr zasnął gdzieś na skraju puszczy i nastąpiła zupełna cisza.

Georg dorzucił kilka suchych gałęzi do ogniska, oparł się plecami o szeroki pień dębu i oddał rozmyślaniom. Przed oczami stanęły obrazy spalonych wsi i ciała pomordowanych ludzi. Nie widział nigdy sprawców tych czynów, ale smolarze - uciekinierzy z puszczy, opowiadali o strasznych, skośnookich wojownikach z południa, których nazywali Tatarami. Dreszcz przeszedł mu po plecach, bo właśnie czcigodny starosta wysłał go, aby baczenie wypatrywał, czy owi barbarzyńcy nie pojawiają się w tych stronach.

- Musi coś w tym być, skoro starosta Neidenburga przykazał mi baczyć na południową ścianę puszczy - pomyślał Georg. Położył się wygodnie na miękkim runie i zasnął. Nagle przebudził się. Ciszę nocy przerwały jakieś odgłosy. Przyłożył ucho do ziemi. Ziemia drżała pod kopytami koni. Było ich wiele, zbyt wiele.

- Jezus Maria, co robić, pędzić z wieścią do zamku, czy zostać i baczenie się rozglądać. Myśli kłębiły się w jego głowie. Georg pobiegł w stronę strumienia, pot wystąpił mu na czoło, serce waliło jak młotem, a przecież w niejednej już bitwie wykazał się odwagą i opanowaniem.

Po chwili zatrzymał się i wdrapał na jeden z wysokich dębów. Siedząc na gałęzi ujrzał szeroką polanę oświetloną światłem księżyca. Zewsząd wylaniały się postacie w szarych wojłokach. Jeszcze nigdy nie widział takich wojowników. Wyteżył więc wzrok. Polana zarośla się od jeźdźców. Na głowach mieli spiczaste czapki, o których opowiadali zbiegli smolarze. W poświęcie ich oczy błyszczały jak wilcze ślepie. Krzyczeli coś, potem zsiadli z koni i zaczęli rozpałać ogniska.

Georg zsunął się z drzewa, pobiegł w stronę ukrytego w puszczy wierzchowca i pogalopował z wieścią do zamku. Po bruku zastukały końskie kopyta. Zaspiany strażnik wychylił się zza murów.

- A kogo tam po nocy złe duchy niosą?! wrzasnął z góry.

- To ja, Georg, otwieraj durniu, otwieraj chyżo, mam wieści dla czcigodnego starosty!

Trzasnęły rygle i żelazna brama otwarła się ze zgrzytem. Georg zostawił konia pachołkowi i co sił w nogach pobiegł do komnaty. Starosta odmawiał właśnie pacierze, gdy otworzyły się dębowe drzwi i w progu stanął zwiadowca.

Jego zmęczona i szara twarz budziła niepokój.

- Co tam za wieści przynosisz?

- Widziałem wielu jeźdźców, są o pół dnia drogi od miasta.

- Wielu mówisz, skąd przybyli, co robią, powiadaj po kolei. Georg długo opowiadał o tym, co widział i słyszał. Gdy opuszczał komnatę, na dworze widniało i piał już pierwsze kury.

- Zawołaj tu Rossendorfa, a ten niech zbierze wszystkich znaczniejszych mieszczan i czekajcie na mnie w refektarzu.

Starosta został sam. Westchnął ciężko i spojrzął na duży, drewniany krzyż wiszący na ścianie. Tak naprawdę nie miał żadnego planu. Wszystko stało się tak nagle, niespodziewanie. Pierwsze promienie słońca odbijały się w barwnych witrażach. Na dziedzińcu, w stajniach i spichrzach krzątały się pachołkowie i stajenni. Wstawał nowy dzień.

- Co nam przyniesie ta jutrznia? - myślał idąc w stronę refektarza. Mieszczanie już od dawna oczekiwali przybycia starosty. Siedzieli na

dębowych ławach, w milczeniu spoglądali w stronę drzwi. Zapadła cisza, którą po chwili przerwał kapitan Danveld.

- Mury trza nam wzmocnić, przygotować kotły ze smołą, zamknąć wszystkie bramy i baczenie śledzić pola od wschodu, bo stamtąd nadejdą pewnikiem.

- Jeśli nadejdą, może pójdą da dal ej, na południe - odezwał się Hugo Otter.

- Tak, czy inaczej - wtrącił się starosta - trza nam mieć baczenie i poczynić przygotowania do obrony zamku i miasta. Ruszajcie zatem, a o wszystkim donoście chyżo.

Tymczasem wieść o Tatarach rozeszła się szybko po mieście. Przekupki zamykały stragany, pośpiesznie zatrzaśkiwano drzwi i okiennice kamienic, a mieszczanie i cechy przygotowywały się do obrony miasta. Kobiety, dzieci i starcy ruszyli w stronę zamku, mieli nadzieję, że mury i niedostępność miejsca ocalą im życie.

Zapadła noc. Na murach płonęły smolne kotły, straż baczenie wpatrywały się w mrok, czy nagle nie wyłonią się z niego postacie dzikich jeźdźców. O świcie ludzie zaczęli powątpiewać w nadejście Tatarów. Myślano powszechnie, że ominęli miasto i powędrowali dalej, gdzieś na południe. W ludzkie serca wstąpiła radość. Nie ma już Tatarów, nie dla nich te

mury i armaty, czas wracać do domów. Około południa od północnej strony murów rozległy się krzyki straży. Dostrzegli w oddali zastępy wojowników. Pola zaroily się od szarych sylwetek jeźdźców. Nad ich głowami powiewały dumne buńczuki. Kobiety i dzieci podniosły lament, ale żołnierze kazali im schronić się na dziedzińcu zamkowym. obrońcy pobiegli na mury. Zaczęto ustawiać beczki z gorącą smołą i wrzątkiem, układano pospiesznie kule do armat. obrońców było niewiele, najeźdźców gromady. Posuwali się powoli w stronę zamku. Końskie kopyta wzbijały tumany kurzu. Zza chmur wyrzało właśnie słońce i oświetliło szarych jeźdźców. Na ich czele jechał Tatar odziany w zbroję nabitą połyskującymi, metalowymi łuskami.

Ta zbroja i barwne ozdoby konia wyróżniały go z szarej ludzkiej masy.

- To pewnie ich wódz - pomyślał starosta i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w tę postać.

W zamku tymczasem panował wielki ruch. Gotowano smołę i wodę na wrzątek dla obrońców. Wszyscy byli czymś zajęci. Kobiety modliły się na dziedzińcu do Matki Przenajświętszej, aby pomogła mieszkańcom i ocaliła miasto, zamek i ludzi.

Przy jednej z armat kręcił się jasnowłosy młodzieniec. Nazywał się Janek Nowak. Ten pędzi wiatr, jak mówiła o nim jego matka, nigdy nie mógł usiedzieć w domu. Ciągle gdzieś zniknął. Teraz też pobiegł na mury pchany chęcią wzięcia udziału w walce.

- Jeszcze im pokażę mrucał pod nosem i zaciskał swoje pięści. Wtem na polach podniósł się krzyk ogromny. Wódz Tatarów dał znak, z gardeł wojowników wyrwało się głośne: Ała, Ała!!!

- Gott mit uns!!! - odpowiedzieli żołnierze i mocniej ścisnęły szable w dłoniach. Ziemia dudniła pod kopytami koni, pędzący jeźdźcy byli coraz bliżej. Wrzask podniósł się tak ogromny, że świdrował w uszach, przesywał do szpiku kości. Skupione twarze strzelców zastygły w bezruchu.

Nagle gdzieś z lewej strony huknęła armata. Kula poszybowała w powietrze. Śledziły ją setki oczu. Uderzyła prosto w pierś pędzącego na czele jeźdźca. Zmiotła go z siodła i runął wprost pod kopyta pędzących z tyłu koni. Wojownicy mongolscy zatrzymali się, ława ludzkich głów znieruchomiła. Z gardeł wyrwał się krzyk przerażenia.

Potem nastąpiła cisza straszna, złowroga, ponura. Tatarzy podnieśli ciało wodza, ułożyli na zrobionej naprędcie kolasce z tarcz i zaczęli odstępować.

- Chwała ci Panie, chwała!!! krzyknęli obrońcy na murach. Stało się jasne, że śmierć wodza ocaliła mieszkańców i Tatarzy odejść

teraz na dobre.

Wieczorem kapelan zamkowy odprawił mszę dziękczynną. Potem

starosta i co przedniej się mężowie pruscy udali się na naradę.

Dziękujemy Matce Świętej za ocalenie, bo nie zdzierzylibyśmy takiej liczbie i sile.

- Powiadają, czcigodni bracia, że ową armatę odpalił młodzieniec, którego zowią Jankiem Nowakiem.

- A gdzie on teraz, przyprowadźcie go tutaj rozkazał starosta..

- Nikt tego nie wie, zniknął gdzieś.

- To szukajcie go, szukajcie wszyscy.

Wszyscy zaczęli szukać Janka po całym zamku. Tymczasem przestraszony chłopak ukrył się w starym spichrzu na wieży.

- Co ja zrobiłem - myślał - teraz to dopiero dostanę, a może nawet mnie powieszają z rozkazu starosty? Wcisnął się w najciemniejszy kąt i zasnął. Szukano go przez całą noc, dopiero nad ranem dwóch koniuszych znalazło go śpiącego w starym spichrzu.

- Tu się ukryłeś, a wiesz, że wszyscy cię szukają: żołnierze, służba. Tak rozkazał starosta, chodź szybko z nami. Zaprowadzili chłopca na dziedziniec. Janek spoglądał spode łba na żołnierzy i tłum ludzi. Czekał na to, co miało nastąpić. Na dziedzińcu zaległa cisza. Słychać było tylko wesoły świergot ptaków pod pułapami dachów. To milczenie przerwał donośny głos starosty:

- Nie szata ani urodzenie mówią o człowieku, ale jego czyny. Ten oto młodzieniec, nie ze szlacheckiego przecież stanu, a wszyscy winniśmy mu wdzięczność i szacunek. To on ocalił nasze głowy, miasto i zamek. Jesteś naszym bohaterem.

- Niech żyje Janek, niech nam żyje!!! - ozwały się gromkie głosy zebranych na dziedzińcu ludzi. Chłopiec stał wyprostowany, dumnym wzrokiem spoglądał na mieszczan i żołnierzy. Został bohaterem, ocalił miasto, sam jeden pokonał zastępy wrogów.

Mieszczanie podarowali Jankowi garniec pełen srebra. Odtąd koniuszy i jego spracowana matka cieszyli się szczęściem i żyli w dostatku. Janka ciągle gnała gdzieś ciekawość świata. Został przyjacielem kapitana Danvelda i razem z nim wyruszył na poszukiwanie przygód. Potem wieść o nich zaginęła

W tym miejscu czas już zakończyć tę opowieść. Od tamtych czasów minęły wieki, spróchniały rozłożyste dęby, ale zostało miasto i zamek na wzgórzu. Na polach porośniętych barwnym kwieciami, do dziś dnia leży ogromny głaz zwany Kamieniem Tatarskim, a obok rozciąga się malownicza wieś Tatary.

Podobno głęboko w ziemi, pod kamieniem, Tatarzy pochowali swego wodza

Dzamełłę i odeszli na południe.

A co z garnkiem srebra, który Janek otrzymał od mieszczan Neidenburga? Sprytny młodzik ukrył go gdzieś w zamku. Wielu go już szukało, ale nikt nie znalazł. Może Wam bardziej się poszczęści i któregoś dnia odnajdziecie garniec srebra, wtedy pomódlcie się za duszę Janka - młodego bohatera, który kiedyś ocalił miasto i ludzi od straszliwej rzezi.